

PO GRUDKĘ WOŁYŃSKIEJ ZIEMI...

Mijały lata, kiedy lepiej było nie przyznawać się do swoich kresowych korzeni. Przez cały ten czas żyliśmy ukrywaną przeszłością. Wciąż w głębi serc tkwiła dziwna tęsknota i niepokój o to, co tam na Kresach pozostało. Czasem tylko wyjmowało się z szuflad stare, pożółkłe fotografie, z sentymentem oglądało się je i pokazywało dzieciom. Ale żeby tam pojechać, zobaczyć, gdzie był nasz dom i nasza Polska – to było możliwe tylko w snach! ...



Osadnicy, legioniści z Weteranówki z dziećmi przy pomniku. Na pomniku napis: „Boże błogosław naszym osadom i naszej dzielnej armii, październik 1926 roku”. Zdjęcie zrobiono w 1938 roku

I oto po latach – prawie, czy wręcz po półwieczu – to nasze gorące pragnienie ujrzenia jeszcze raz Białozórki – ziściło się! W maju 1989 roku, obie z Danusią Burz-Kucharską otrzymałyśmy zaproszenie na wyjazd do Krzemieńca. Na to tylko czekałyśmy! Ale jakże głęboko przeżyłam tamto spotkanie z tą nową, a całkiem inną rzeczywistością.

Zaraz na drugi dzień po zwiedzeniu Krzemieńca - już o godz. 5.00 rano z wielkim wzruszeniem wsiadłyśmy do autobusu jadącego do Białozórki. Po kilku kilometrach wjechałyśmy na drogę, której polny charakter przypominał przedwojenne czasy. Droga miejscami była utwardzona żużlem, ale wyboje były takie, że bałam się o resztkę moich zębów. Autobus toczył się po nierównościach, podskakiwał, trząsł się, ciągnąc za sobą tumany kurzu. Jechałyśmy przez Rybczę, Katerburg, Podhajce, Borszczówkę, Borsuki i Napadówkę.

Przez Rybczę autobus przemknął nie wiedząc kiedy. Dawnej polskiej wsi nie ma. Pustkowie, jakiś pojedynczy dom, mały cmentarzyk, parę chyłących się drewnianych krzyży i pasące się krowy. A więc są tam jacyś ludzie.

W Katerburgu autobus zatrzymał się w pobliżu budynku dawnej gminy. Odnotowałam wzrokiem, że rosnący kiedyś obok park jodłowy wycięto. W kiosku z gazetami kupiłyśmy widokówki, znaczki i w drogę.

Była to droga skłaniająca mnie do wspomnień i refleksji. Przypomniałam sobie mój pierwszy wyjazd do Krzemieńca wiosną 1939 roku. Jechałyśmy obie z Danką

Siniarską na wstępny egzamin do Liceum Krzemienieckiego. Wiozła nas wtedy mama, naszym wozem i końmi. Właśnie pomiędzy Rybczą a Katerburgiem spotkałyśmy wóz jadący z przeciwnej strony, w którym jechała na wakacje Mela Kozubska, ucząca się już drugi rok w liceum. Z radością powitałyśmy się. Dziś już nie pamiętam, czy ją jeszcze kiedyś potem widziałam.

Owego roku jesienią wybuchła wojna, w lutym 1940 roku moją całą rodzinę wywieziono na Ural, a Melę i jej rodziców w lecie 1943 roku zamordowali banderowcy. To spotkanie na zawsze utkwilo mi w pamięci. Wtedy wszystko było dla nas takie jakieś niecodzienne. Byłyśmy młode i jeszcze pełne wielkich nadziei.

Jadąc dalej, z dużym zainteresowaniem spoglądałam przez okna autobusu na mijane po drodze wioski. W każdej widziałyśmy po jednym sklepie i prawie w każdej stał jakiś pomnik żołnierza lub kobiety z dzieckiem, które postawiono ofiarom wojny. W Borsukach zdołaliśmy nawet odczytać napis: „Ku upamiętnieniu ofiar nacjonalizmu ukraińskiego”.

Ludzi po drodze przybywało i do Łanowiec dojechałyśmy w tłoku. Łanowce nie sprawiły mi żadnego wrażenia. Zresztą i przed wojną było to mizerne, żydowskie miasteczko, z niewielką ilością zamieszkałych tam Polaków. Oprócz cerkwi i bożnicy był też kościół rzymsko-katolicki.

Była to parafia z przyległymi kilkoma wsiami. Dworzec autobusowy mieści się naprzeciw stacji kolejowej, która od naszych czasów wcale się nie zmieniła. Jest tylko bardzo zaniedbana i wydała mi się jakby trochę mniejsza. Kiedyś była to już ostatnia nadgraniczna stacja.

Oryszkowce ominęłyśmy i drogą okrężną zawadziliśmy o Jankowce. Byłam zauroczona piękną rzeźbą terenu. W jarach i dolinach leżała jeszcze mgła. Zdawało mi się, że ten krajobraz znam - zastanawiałam się tylko, czy to jest rzeczywistość, czy może ja tylko śnię?... W Szuszkowcach tak

jak przed wojną wzdłuż wiejskiej drogi, na błotnistych rozlewiskach pływały kaczkami. Wiejskie domy, nawet dość porządne, stały ukryte w gęstwinie sadów. Strzech słomianych już nie widać. Doprowadzono elektryczność, na dachach liczne anteny telewizyjne. Po osadach wojskowych – Piłsudczance i Belinówce - ani śladu. Starte z powierzchni ziemi.

W pewnej chwili, Danusia przerwała moje milczące zadumanie. Okazało się, że jesteśmy już na rynku w Białozórcze. Wysiadłam jakaś oszołomiona i zdeorientowana. Rynku nie poznałam. Wszystkie żydowskie domy, tworzące kiedyś kształtny czworobok, wyburzono. W środkowym miejscu zrobiono trawnik, a po bokach postawiono trzy „leniny”, Dom Kultury, kooperatywę i sełradę.

Danusia była chyba bardziej przytomna ode mnie, ale i też wprowadzała jakiś element strachu. – Prędej! - prędej! - nie zatrzymuj się! - nerwowo mnie ponaglała. Pociągnęła mnie wąską uliczką w dół od rynku, w stronę dawnej gminy, która stała tak jak dawniej w otoczeniu brzoź. Po drugiej stronie stał ten sam drewniany budynek poczty. Tylko już oczywiście bez czerwonej szkrzynki z orzełkiem i trąbką. I był taki jakiś mizerny, trochę pochylony ku ziemi, ale przecież ten sam...

Zatrzymałyśmy się na rozdrożu. Oczywiście wyobraźni szukałyśmy parku i skrytego tam wśród gęstych drzew, pałacu hrabiów Brzostowskich. Wypatrywałyśmy resztek kościoła parafialnego rozebranego z nakazu cara w 1888 roku... Ale nic tam nie pozostało - ani pałacu, ani resztek świątyni, ani starego parku...

Dzień był piękny, słoneczny, majowy, a nam tak jakoś ciężko na duszy. Żal nam było owej przeszłości i tych nieistniejących już zabytków kultury. Ileż historii się tu przewaliło, ileż ludzkich losów poszło w zapomnienie.

Ale nie było czasu do rozważań - godziny miałyśmy policzone. Poszłyśmy

wzdłuż potoku. W miejscu, gdzie, dawniej urządzano festyny utworzył się dość spory staw. Po drugiej stronie, na skarpie zostało trochę gruzu po żydowskich domkach i dzikie chaszcze. Była tam kiedyś uliczka, przy której mieszkała Danusia Siniarska. Ale i ta uliczka gdzieś się zagubiła. Pozostał po niej tylko nieuczęszczany wąwóz.

Weszliśmy na drugi mostek. Był dziurawy jak zawsze. A pod nim rzeczka: brudna, zarośnięta, zawałona gałęziami i chwastami. Po dawnym młynie Tyszkiewiczów ani śladu. W trójkącie dróg pozostało małe wzniesienie zarośnięte pokrzywami i łopiami. Zdążyliśmy pod górę, ku kościołowi św. Rocha. Ale nie było tego dawnego



*Spotkanie rodzin osadników u Borowców.
Zdjęcie wykonane w alei czereśniowej, w sierpniu 1938 roku*

Idąc dalej doszliśmy do starego drewnianego mostu. 17 września 1939 roku zginął na nim osadnik Marian Pawlicki, który był wtedy na nocnym patrolu i nie chciał ustąpić z drogi sowieckiemu zwiadowi. Za mostkiem, przy drodze do szkoły, stało kiedyś dużo domów. Mieszkała tam moja chrzestna Agata Medolińska i Szusciakowie. Rosły tam bardzo wysokie topole, na których było masę gniazd.

Zawsze podziwialiśmy odwagę ukraińskich wyrostków, którzy wracając ze szkoły włązili na sam czubek tych drzew i wybierali z gniazd wronie jaja, a nawet nieopierzone wronięta.

wejścia na wysoką skarpe, gdzie był spory plac przed kościołem, a cała góra jakoś bardzo zmniejszyła się. A na górze pustka! Ani kościoła, ani starego cmentarznego muru, ani jednego drzewa, które tam kiedyś ponad grobami szumiały. Wszystko zrównane z ziemią. Tam, gdzie dawniej był cmentarz wałają się resztki starych pomników, rosną krzaki. Na tym tragicznym pustkowiu, wśród kilku bezładnie porozrzucanych kamiennych płyt pasą się krowy.

Po naszym ukochanym kościółku i po wspaniałym grobowcu-kapliczce, gdzie spoczywały szczątki hrabiów Krasickich pozostały tylko zapadliny. Trudno było

KRESOWE STANICE

zorientować się, gdzie były groby kolejnych panów-właścicieli Białozórki: Brzostowskich, Osieckich, Jełowickich i Mogielniczych.

Trudno było doszukać się alei, obok której była mogiła tych, co w 1863 roku „poszli w bój bez broni” i grobu owianego legendą żołnierza króla Jana III - protoplasty rodu Strzeszkowskich – który mając 105 lat z królem pod Wiedeń poszedł, a dorwawszy jednego pogana za łeb go uchwycił i wąsy mu oderwał. I odtąd ku swej chwale zwał się: Strzeż-Strzeszowski-Oderwąg.

Nie znalazłam też grobu mojej babci Anny Brandtowej. Wszystko tam jakoś wyrównało się i porosło trawą. A jednak nie wiedzieć czemu - smutne resztki polskości w Białozórce jakimś cudem, na przekór wszelkim zawieruchom ostały się! Pozostał samotny cokol – reszka pomnika, który stał przed kościołem. Był to podobno pomnik założyciela cmentarza i kaplicy cmentarnej. Na jednej stronie tego cokołu pozostał jeszcze wyryty w kamieniu napis: „Złożone zwłoki Katarzyny z Płykiskiej Kendzierskiej zgasłej 19 jul 1839 r. Przechodniu złóż jej modły”... Mimo woli ukłękłyśmy i zmówiłyśmy pacierz.

Danusia wciąż przytomniejsza i przeznorniejsza ode mnie wyjęła świecę, postawiła ją na małym wzgóreczku i zapaliła. - Ku pamięci tych wszystkich, którzy śpią tu snem wiecznym – powiedziała. Stałyśmy tam jeszcze przez chwilę, miętosiliśmy mokre chusteczki i obie wzbraniałyśmy się od płaczu. Polną drogą poniżej cmentarnego rumowiska jechała wozem konnym jakaś para wieśniaków. Z zaciekawieniem spoglądał w naszą stronę. Danusia wyrwała mnie z odrętwienia i pociągnęła za sobą. Obie milczałyśmy - obie przeżywałyśmy to samo.

Czas nam było iść dalej. Poszłyśmy drogą na Nizy. Po lewej stronie na skarpie rosły bzy. Rozrosły się bardzo i zdziczały, ale właśnie zakwitły tak jak dawniej na fioletowo, na majowo. I wtedy uświadomi-

łam sobie, że jaśmin, czeremcha i bez nigidzie tak nie pachną, jak właśnie tam - na Wołyniu... Na prawo, wzdłuż dawnego traktu biegnącego do strażnicy KOP-u ciągnęły się kiedyś słupy telefoniczne. Zawsze słyszało się tam jakieś szумы i dziwne granie. Teraz przy drodze pozostało kilka wysokich topoli oraz kępka drzew i krzaków na terenie działek Niziałka i Porębskiego. Po obu stronach rosła ładna pszenica, a trochę dalej, na polu Turczyńskiego niekończący się łąn kukurydzy. Przed nami rozciągał się kraj płaski, równinny, przestronny. Jak długo i szeroko - jak okiem sięgnąć - wiatr kołysał zielonym morzem zbóż, hen aż po sam horyzont, gdzie na prawo od Koszlak ciemniała smuga lasu. Nieco w lewo, bliżej Zbrucza, widać było kępy drzew przystaniające zabudowania Szczasnówki. To całe rozległe pole przed nami, to nasza dawna „Weteranówka” - osada wojskowa naszych ojców. Poszłyśmy doliną, pomiędzy polami Turczyńskiego i Furgała. Potem podreptałyśmy między w kierunku działki Gąsiorowskiego.

I raptem mocno zabiło mi serce. Oto przed nami ukazała się droga, którą kiedyś przed laty dwa razy dziennie, przemierzałyśmy - nasza droga do szkoły! Byłam do głębi wzruszona. Stałam tam i zastanawiałam się, czy pójść tą znajomą mi drogą i dojść do wyteśnionego miejsca, które opuściłyśmy w listopadzie 1939 roku.

Tam w maju każdego roku pod moim oknem kwitły wiśnie i jabłonie. Tam wiosną każdego roku o wczesnym brzasku mój tata szedł boso z pługiem w pole. Zawsze za nim dreptało stadko wron. Z ciepłej, świeżo wyoranej skiby wybierały robaki. A wysoko ponad zaoranyimi żagonami rozlegał się skowronkowy śpiew. Stałam tam zapatrzona i zamyślona. Rozkoszowałam się tą wielką ciszą i zapachem rosnącego zboża. Wahałam się - iść tam, czy nie iść? Żałuję, że nie poszłam, że nie dotarłam do mego miejsca urodzenia.

Poszłam posłusznie za Danusią. Poprowadziła mnie do źródelka koło Górniaków. Na poboczach drogi trawa była mokra od rosy. Zdjęliśmy pantofle i poszliśmy dalej na bosaka. Wokoło ani śladu po domostwach osadników, tylko pola i pola, i ta zapamiętana rzeźba i ta wielka cisza terenu.

niego cmentarnej ziemi. - To na groby moich rodziców zawiozę - powiedziała. Wzięłam i ja małą grudek ziemi i zawinęłam ją w chusteczkę.

Było południe. Trzeba było wracać. O godz. 15.00 miałyśmy powrotny autobus do Krzemieńca. Weszliśmy do sklepu. Ludzi



Szkola w Białozórcze. Jasełka w 1937 roku. Udział biorą dzieci osadników

Po godzinie doszliśmy na wzgórze. Stąd po drugiej stronie jaru widać było Sofijówkę, a na dole źródelko, którego szukałyśmy. Wypływał stąd wąski strumyk. Bliżej wsi poszerzał się. Pojawiły się jakieś rozlewiska. Pływały na nich kaczki i gęsi. Z góry widać było bogatą rzeźbę skarpy i resztki dawnego parku Knollów. W oddaleniu po drugiej stronie wsi, na Łysej Górze, wśród zieleni drzew wylaniały się białe ściany cerkwi i trzy baniaste kopuły.

Czas uciekał. Pośpieszyłyśmy. Puściłyśmy się na przełaj przez porośniętą trawą wzgórze i powróciłyśmy na teren cmentarza. Obie byłyśmy bardzo zmordowane. Usiadłyśmy na bezimiennym nagrobku. Danusia wyjęła z torby słoik i nabrała do

wewnątrz mało. Danusia - bardziej praktyczna weszła do części przemysłowej. Ja kupiłam jakieś drobiazgi spożywcze i nie widząc nic lepszego wybrałam dla mojej rodziniki kilka par majtek. Przed sklepem na schodach siedziała baba z ziarnkami dyni. Kupiłam jedną szklankę i zabrałam ze sobą. Przed odjazdem zdążyłyśmy zrobić jeszcze kilka zdjęć.

Autobus był pełen ludzi. Przyjechał chyba z Płyski. Pojechaliśmy w dół, obok poczty, a potem w kierunku Mołotkowa. Po obu stronach drogi pustka - żadnych śladów zabudowań po osadzie wojskowej „Orle gniazdo”. Nie widać ani stojącego tam kiedyś dużego budynku strażnicy KOP-u

(odvodu), ani dwóch topoli, które za naszej pamięci tam rosły.



Maria Domańska - matka autorki.

Mołotkowa wypatrywałam z niecierpliwością. Zobaczyłam go w kępie drzew. Na wzgórzu za rzeką Łysogórką widać były mały posesiołek - kilka chat otulonych słupami dymów. Kiedyś było to już po sowieckiej stronie. Tu u mojego dziadka spędziłam kilka wolnych wakacji. Stąd też 10 lutego 1940 r. zabrano nas na Ural. Ale wciąż był to mój rodzinny, ukochany Mołotków. Z biciem serca wyglądałam z okna autobusu. Tu urodziła się moja mama.

Do historii już przeszło spotkanie 9-letniej Marysi Brandt - późniejszej żony osadnika wojskowego Stanisława Domańskiego z Weteranówki - z pierwszym polskim żołnierzem w Mołotkowie w 1918 roku. „Wpadła ci ona do swej babuni Petronelli Tołałajowej z okrzykiem: „Widziałam we wsi polskiego żołnierza!” A babunia - jak to babunia - rzuciła ku Marysi pytanie: „A czy ty się z nim przywitała i w rękę go pocałowała?”...

Mołotków pozostawał - ginął za kępą drzew. Uleciały też gdzieś moje myśli.

- Chyba go już nigdy nie zobaczę? Minęliśmy jeszcze skrzyżowanie z drogo-

wskazem do Ośnik i Teofipola i już wszystko było za nami... Danusia przeżywała to w inny sposób. Rozgadała się z jakimś przygodnym pasażerem. Mnie wystarczyła wewnętrzna cisza i rozmyślanie.

Po dwóch dniach spędzonych jeszcze na zwiedzaniu Krzemieńca, Wiśniowca i Poczajowa - przez Zbaraż, Tarnopol i Lwów powróciliśmy do Polski. W drzwiach mieszkania oczekiwała na mnie mama.

Przywiezioną z Białozórki grudkę ziemi położyłam uroczyście na stole. Mama ze zniecierpliwieniem rozwiązała zawiniątko, popatrzyła na mnie, potem znów na tę grudkę i nic nie mówiąc ostrożnie dotknęła ją palcami. Położyła ją na drżące dłoni, z tą odrobiną ziemi podeszła do okna, oparła się o wystający parapet, pochyliła głowę i cicho płakała... A mnie wciąż było czegoś brak, wciąż byłam jakaś smętna, wciąż myślałam jeszcze byłam właśnie tam, na „Weteranówce”. Żalowałam, że nie dotarłam do mojego miejsca urodzenia, a tak już było blisko!...

Opuściłam je pewnego, mglistego, deszczowego listopadowego dnia 1939 r., prowadząc na łańcuchu pozostawioną nam krowę. Ponieważ rodzice obawiali się, że chłopcy mogą odebrać nam ostatnią żywicelkę, poszłam polami, omijając Białozórkę i Mołotków, jako że dom dziadka stał na drugim końcu wsi. Reszta rodziny pojechała drogą, na wozie załadowanym naszym dobytkiem. Zabraliśmy tylko tyle, ile zdołaliśmy załadować. W naszym domu mieszkała już jakaś ukraińska rodzina i podczas pakowania się, pilnie patrzyła na ręce. Szłam wtedy samotnie polami, cała mokra i zabłocona. Nie przypuszczałam, że już nigdy nie zobaczę swego domu i swych ulubionych miejsc w jego otoczeniu.

W moich snach jakże często widzę kraj mego dzieciństwa. Tego obrazu nigdy nie zapomnę. I jestem przekonana, że duch mój, po mojej śmierci, nim trafi do miejsca przeznaczenia, przeleci nad „Weteranówką” i przysiądzie na chwilę w miejscu moich urodzin”...